Nr. 23. Lwów, 1 grudnia 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

PSIA INTELIGENCYA.

Gdy bieda Mazura schwyci za kołnierz i z żelazną konsekwencyą raz obok razu zaczyna go prześladować, to on wtedy, stając bezsilny wobec niemożności zaradzenia złemu, skrobie się w głowę, spluwa na ziemię z determinacyą i pociesza się następującemi słowy: „Dał Bóg chłopu żonę, kusy dodał wiano.“ Jeżeliby na ten dyabelski posag składały się, oprócz mnóstwa fraszek, jeno podobne bogactwa, jak na przykład: histerya żony, arsenał akuszerek, grymasy i fochy mamek, różne choroby dzieci, częste wizyty lekarskie i ustawiczna niezgoda z pieniędzmi, to sądzę, iż na skąpe wiano nie mógłby się uskarżać, nietylko biedny chrześcianin, któremu wolno pojąć tylko jedną żonę, ale nawet czciciel Mahometa, który, zdaniem mojem, w sprawach erotycznych imponuje swoim kilku żonom i licznemu gronu odalisek nie tyle może wartością realną, ile raczej gębą. Ale mniejsza o to.

Skoroby jednak i Tobie czcigodny Panie Redaktorze, dostała się kiedykolwiek w udziale, niechby już tylko jakaś część wyżej wyliczonych skarbów, to zaręczam, iż zaprzestałbyś pisać i odrzucając pióro ze wstrętem zakląłbyś straszliwie:

„A niechże to wszystko siarczysty grom spali, bo takiego dobra dla jednego męża, chociażby był obdarzony silnymi nerwami, bądź co bądź jest stanowczo za dużo.“

A cóż powiecie na to, Wy łaskawi czytelnicy z pod sztandaru św. Huberta, skoro wyznam Wam poufnie, że „kusy“ był dla mnie tak względny, iż dodając wiano na małżeńskie gospodarstwo, rozgatunkował wyżej określone bogactwa i zestawił rejestr z taką skrupulatnością, że o wykreśleniu w tym rejestrze, choćby tylko jednej pozycyi, ani mowy być nie może.

Nic przeto dziwnego, że i ja, nie mając nerwów ze stali, zaprzestałem pisać do „*Łowca*“ i umilkłem, tak, jak gdybym już dawno odśpiewał swoją partyę z opery łowieckiej. Tymczasem tak nie jest. Wierzcie w to, co piszę, kochani bracia w św. Hubercie, bo wyznaję szczerze: główną przyczyną mojego milczenia była okoliczność, że będąc przygnieciony ogromem omówionego posagu, zapadłem w jakiś letarg umysłu, i z niedomagania otrząsnąć się żadną miarą nie byłem w stanie, lecz, rad nie rad, musiałem pozostać w tem odrętwieniu aż do chwili, kiedy mię z letargu nasze pieski zbudziły.

Tak jest! Nie wstydzę się przyznać, iż nietylko twierdza Guerina w Paryżu, ale nawet bliski upadek Chin wcale mnie nie interesują, ale skoro powstaje gdziekolwiek dyskusya o moich ulubieńcach, mianowicie wyżłach, uczuwam zaraz, że krew w żyłach moich szybciej krążyć zaczyna, bo uważam się za szczęśliwego, gdy mi wolno, jeśli nie kierować nimi, to przynajmniej o nich pisać i stanowczo twierdzę, że to są stworzenia, które inteligencyą swoją i rozumem zasługują najzupełniej na to, aby się nimi zajmowano.

Zanim jednak sam przystąpię do omówienia ich zalet, niech mi będzie wolno podnieść niektóre szczegóły z tego, co już inni o nich powiedzieli, przy czem zastrzegam się z góry, iż nie czynię tego bynajmniej w zamiarze krytykowania, lecz dzielę się z czytelnikami zdobyczą, jaką mi podały same legawce w ciągu mojej praktyki łowieckiej i robionych spostrzeżeń na polu układania wyżłów.

Pierwszą pobudkę, która jak prąd elektryczny uderzyła we mnie, zagrał hr. A Sumiński, umieszczają w „*Łowcu*“ w Nr. 13 i 14 znakomity artykuł o tresurze wyżłów.

Czy szanowny autor osobiście tresował więcej legawców tego nie wiem, ale że nie patrzył na tresurę przez okulary tylko gołem okiem, to wiem na pewno, gdyż uważam za rzecz absolutnie niemożliwą, aby znalazł się taki człowiek, któryby, czerpiąc umiejętność wyłącznie w teoryi, a nie praktyce, mógł nabrać takiej pewności, z jaką p. hr. Sumiński się wyraża, tembardziej, jeżeli się zważy, że ułożenie jednego lub dwu wyżłów nie daje jeszcze zupełnej pewności, iż wszystkie inne psy w ten sposób dadzą się wytresować.

A ponieważ i ja także nie uczyłem się sposobu tresowania z książki, lecz od samych wyżłów, więc niechaj szanowny autor nie gniewa się na mnie, skoro nie zgodzę się w zupełności z jego zasadami.

P. hr. Sumiński twierdzi:

1) Nie układaj nigdy psa gałgana (szkoda zachodu i pracy.)

2) Nie tresuj nigdy psa, jeżeli nie masz do tego cierpliwości.

Tak jest panie hrabio, zgadzam się! jednak pod warunkiem, aby rzeczoznawca orzekł wprzód dowodnie i stanowczo, iż dany pies posiada takie wady, które go od tresury wykluczają bezwarunkowo, gdyż ja przekonałem się niejednokrotnie, że psy, które wogóle uchodziły za gałganów, po kilku tygodniach znajomości ze mną zyskiwały miano, jeśli nie bardzo dobrych, to, co najmniej, dobrych wyżłów. Więc gdzież ta typowa wada, dla której wyżła nazwać można gałganem? Gdyby tę ciężką wadę stanowić miały niesforność, uganianie i nieposłuszeństwo, to rzecz małej wagi, gdyż przywary te dadzą się po kilku dniach raz na zawsze usunąć. Mniemam przeto, że Szanowny autor tego rodzaju wady nie mógł mieć na myśli.

Według mego, bynajmniej niemiarodajnego zdania, leży główna wada, z wykluczeniem słabosilności, wyłącznie w wadliwym ustroju psiej pompy (nosa), na co dotychczas nie było i nie ma żadnej rady. Czy psy wogóle zatracają subtelność narządu powonienia w skutek jakiejś choroby, czy też z innych przyczyn, tego orzec nie jestem w stanie, więc tylko to podaję za pewnik, że suki, które zależały pole i nigdy nie były używane, wydają na świat tylko takie potomstwo, którego znamienną wadą jest wiatr słaby.

Skoro zatem legawiec niedomagający wiatrem dostanie się do rąk myśliwego, lubiącego, ażeby pies okładał przed nim pole na sto lub więcej kroków i zwierzyny nie płoszył, to nie wątpię bynajmniej, iż nazwie go gałganem, albowiem mimo, że przy pomocy tresury, można takiemu psu przyswoić aż nadto troskliwe szukanie, nie dorówna on nigdy wyżłowi, obdarzonemu silnym wiatrem, który, będąc pewnym swego nosa, lekceważy niejako szukanie i na pozór ugania, a jednak rzadko kiedy co ominie, albowiem jedno napompowanie powietrza, w kierunku pod wiatr, wystarcza dlań najzupełniej.

Lecz czy myśliwy mniej wymagający będzie miał za gałgana wyżła o wietrze słabym, to jeszcze pytanie. Ja miałem dwa legawce, dotknięte omawianą wadą, które zrozumiawszy siłą inteligencyi, czego im nie dostaje, chodziły, szukały i wystawiały zwierzynę z taką precyzyą, że inni myśliwi, patrząc na ich manewrowanie, zachwycali się nimi, podczas gdy ja w mojem zapatrywaniu osądziłem, że owe psy nie były niczem innem, jak tylko gałganami, wobec czego zdaje mi się że nazwa: „gałgan“, dla psa nienadającego się do układania będzie może nieco za słabem i niejasnem określeniem. Ale jak poznać wiatr u szczenięcia? Oto sęk. Wprawdzie p. hr. Sumiński wskazuje na jedyną drogę do uniknięcia zawodu, bo radzi sprowadzać szczenięta z renomowanego gniazda. Jakkolwiek tej, w zasadzie bardzo dobrej, a może nawet jedynej radzie, wcale się nie sprzeciwiam, to, mimo to niech mi będzie wolno przypuścić, że rady tej nie można uważać ostatecznie za aksyomat niczem nie dający się obalić. Na dowód niech posłuży następujący przykład. Wyżeł był cudownie piękny, pochodził z renomowanego gniazda za granicą i kosztował grube pieniądze, a mimo to, nietylko w moich oczach zasługiwał, tak pod względem wiatru, jakoteż i zachowania się w polu, na miano najgorszego kundysa. Wobec tego śmiem twierdzić, że kwestya skonstatowania wiatru u szczenięcia pozostanie nadal w rzędzie nierozstrzygniętych jeszcze problematów przyszłości, jeżeli jej nauka weterynaryi, lub jaki fizyolog wcześniej nie rozświeci, albowiem próby z kawałeczkami mięsa i chleba, podawanymi szczeniętom do zwietrzenia, nie dają bynajmniej niezbitego, a nawet przypuszczalnego dowodu, iż szczenię będzie miało wiatr ostry. Wszak i szczenię kundysa to samo potrafi, mimo, że „legawe pole“ było dotychczas dla niego zamknięte.

Natomiast co do innych zalet, jakoto: inteligencyi, gorliwego szukania, zwinności, posłuszeństwa i karności, radzę wybierać szczenięta ruchliwe, o wejrzeniu niejako wstydliwem, że się tak wyrażę, uśmiechniętem, gdyż na podstawie czynionych prób przyszedłem do przekonania, iż z takich szczeniąt bywają psy, co najmniej zupełnie zadowalniające, przyczem jeszcze i to dodać muszę, że przy wyborze sukienka szczenięcia nie może odgrywać wcale żadnej roli. Owszem, przestrzegam nawet: Ktoby do sukienki przywiązywał nazbyt wielką wagę, ten mógłby się narazić na rozczarowanie i nabyć pewności, że piękna sukienka tak samo, jak u istot, mieniących się panami stworzenia, tak też i u psów, zamiast cnoty, okrywa często same przywary.

W drugiej przez siebie postawionej zasadzie, streszczonej w artykule, napisanym z kompletną znajomością rzeczy, twierdzi p. hr. Sumiński, iż kto nie ma cierpliwości, ten do układania psa zabierać się nie powinien.

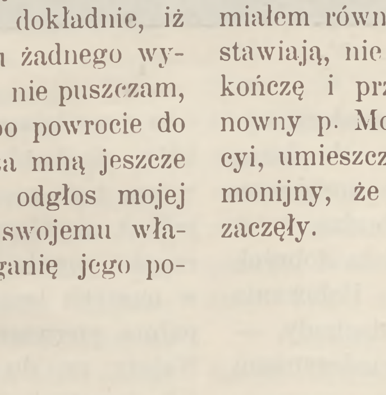
Tak! I w tym względzie przyznaję chętnie słuszność szanownemu autorowi, jako znakomitemu rzeczoznawcy, ale również pod warunkiem: jeżeli szanowny autor stawia tę zasadę w formie postulatu dla rutyny, to dobrze, albowiem trafiają się rzeczywiście psy tak bojaźliwie, iż ułożenie ich według prawideł rutyny, której pierwszym artykułem wiary bywa zazwyczaj katowanie i kopanie psa nogami, okazałoby się w samej rzeczy niemożliwe, ale skoro hr. S. żąda cierpliwości ze strony układającego dla wszystkich wyżłów bez wyjątku, to w takim wypadku na podstawie doświadczenia oświadczam wyraźnie, że zbytnia cierpliwość przy tresurze, zwłaszcza w polu, nawet dla psów niekoniecznie opornych, zatwardziałych i upartych, może być nietylko szkodliwą, ale nawet zgubną w tym w kierunku, że w najkrótszym czasie psy zepsują się zupełnie, jak tylko dostaną się w inne ręce.

Niestety! cierpliwości w herbie moim nie ma, gdyż baranek z rogami byłby odpowiedniejszy na symbol uporu, a mimo to każdy wyżeł, który do mnie się dostaje, już po kilku dniach zrozumie dokładnie, iż jestem jego rozkazodawcą, a chociaż mu żadnego wykroczenia przeciw rozkazowi nigdy płazem nie puszczam, przywiązuje się do mnie tak dalece, iż po powrocie do swego pierwotnego chlebodawcy tęskni za mną jeszcze przez czas dłuższy i gotów na pierwszy odgłos mojej gwizdawki wypowiedzieć posłuszeństwo swojemu właściwemu panu dopóty, dopóki mu nie zganię jego postępowania i nie odprawię go napowrót.

Gdyby kto zapytał: w jakiżto sposób można dojść do pożądanego rezultatu, to już z góry odpowiem, że mój sposób układania wyżłów nie jest wcale tajemnicą, bo do sztuki nie należy. Oto nie uważam układania wyżła za nudne zajęcie, lecz owszem z przyjemnością obserwuję go naprzód bardzo pilnie pod względem temperamentu, ruchów i nawyczek, a następnie chwaląc go lub ganiąc, badam zasób jego inteligencyi i w miarę jej rozwoju daję mu do zrozumienia, czego od niego wymagam. Pozwoli zatem szanowny autor, że do jego dwu zasad dodam jeszcze jedną, mianowicie: Skoro nie masz do psów przywiązania, daj spokój tresurze. Z tego, co wyżej powiedziałem, wynika zatem jasno, że tresura w domu, tak zwana pokojowa, nie jest dla miłośnika psów żadną pracą, lecz raczej rozrywką. Natomiast ciężka praca, niepozbawiona jednak przyjemności, z której nietylko wielu profanów, ale nawet zawodowych myśliwych zrezygnowałoby chętnie, rozpoczyna się dopiero w polu. Tam nie wolno być cierpliwym, lecz potrzeba koniecznie wystąpić nagle całkiem seryo i z powagą, a w miarę nieposłuchu stosować bezwględnie karę, którą stosownie do potrzeby spotęgować, lub zaniechać należy, wyzyskując przytem każdy moment, kiedy pies zachowaniem się swojem zasługuje na pochwałę, z którą również w restancyi pozostać nie można. Zresztą oświadczam bez pochlebstwa, że sposób układania wyżłów, opisany w powołanych wyżej numerach „*Łowca*", jest tak jasny i celowi odpowiedni, iż wątpię, czy znalazłby się ktoś taki, któryby go za bardzo dobry uznać nie chciał. Przy takim składzie rzeczy oświadczam i ja mimochodem, bez względu na okoliczność, iż opisany sposób z moją metodą niezupełnie się zgadza, że gdyby mi wolno było wystąpić nawet w charakterze krytyka, to i wtedy jeszcze sąd krytyczny, nie mógłby wypaść inaczej, jak tylko na chlubę autora, albowiem oprócz zastrzeżenia, iż nie wszystkie rasowe psy, a zatem posiadające przypuszczalnie inteligencyę w stopniu znacznie wyższym, niż inne, dziedziczą drogą atawizmu wszystkie zalety swoich przodków (o czem przekonać się miałem również sposobność) i z natury szukają i wystawiają, nie mam nic więcej do powiedzenia. Dlatego kończę i przechodzę do drugiej pobudki, którą szanowny p. Modest Douillet wydzwonił w korespondencyi, umieszczonej w *Łowcu* Nr. 17, w sposób tak harmonijny, że mi wszystkie nerwy od razu wibrować zaczęły.

Kisielewski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



SARNA

napisał

A. hr. SUMIŃSKI.

(Ze zdjęciami autora.)

Sarna.

Każdy czem może, powinien zasilać literaturę łowiecką, która u nas śmiało rzec można, jest ubogą w całem tego słowa znaczeniu. Od wieków myślistwo było rozrywką naszych przodków i chociaż polowano wtedy inaczej, cel, do którego dążono, był zawsze ten sam. Amatorów polowania jest stosunkowo bardzo wiele, a drużyna św. Huberta ciągle nowych adeptów zaciąga pod swoją chorągiew — mało jednak mamy w niej zawodowych myśliwych, fachowych we właściwem tego słowa znaczeniu. Powodem tego brak dzieł fachowo pisanych, brak reguł przedstawionych w formie opowiadań z życia i doświadczenia, któreby w łowiectwie, będącem na pół pracą, a na pół zabawą, zastąpiły nużące i suche regulaminy. Inne kraje posiadają doskonałe dzieła, które nietylko wspaniałem wydaniem stają się ozdobą myśliwskiego pokoju, ale pisane fachowo i interesująco, są materyałem pouczającym i z amatora robią zagorzałego myśliwego, budząc interes i ucząc zarazem. Kraje te mają też wielu dobrych myśliwych i dużo przepysznych polowań. Polowania przynoszą tam obok przyjemności ładne dochody, — dzięki temu, że każdy dzieli się swemi doświadczeniami z drugimi, że wyrabia się w społeczeństwie poszanowanie dla przepisów ustaw łowieckich przez prawodawcę wydanych i przepisów myśliwskich przez samych łowców na siebie nałożonych.

Niechże się więc czytelnicy *„Łowca“* nie dziwią, że mając takie przekonania, podaję im do czytania tę pracę, choć o sarnie już w *Łowcu* samym pisali tacy ludzie, jak śp. Wodzicki i Spausta. Moja praca ma tę zaletę, że podobnie, jak ich prace, oparta jest na własnych doświadczeniach, myśliwego, który niezaniedbuje zawsze i wszędzie czynić spostrzeżeń. Zapatrywań moich nie chcę nikomu narzucać ale *„il faut avoir le courage de ses opinions“*, więc wypisuję wszystko, co czuję Ponieważ wypadało, aby praca, pod tym tytułem miała pewne zaokrąglenie, nie dziwnego, że w jej ciągu będę musiał powtórzyć także niejedną rzecz dobrze i dawno myśliwym naszym znaną.



ROZDZIAŁ I.

Królem zwierzyny szlachetnej był, jest i będzie zawsze jeleń. Anglik nazywa go słusznie *„the monarch of the glen.“* Jest on też stworzeniem królewskim, ma coś majestatycznego w swej postaci, w swem zachowaniu, a pierwsze z nim spotkanie, to może jedno z najgorętszych życzeń każdego prawdziwego myśliwego. Ale życzenie to nie zawsze może być spełnione. Jeleń, i to prawdziwy jeleń górski, wymaga takich terenów, które nie każdemu śmiertelnikowi są dostępne. — Krewnym tego monarchy, ale jego tylko miniaturą, mogącą jednak myśliwemu dać przybliżone pojęcie o przyjemności spotkania się z nim, jest sarnik. Jemu też w naszych lasach nizinnych i podgórskich należy się palma pierwszeństwa między zwierzyną niedrapieżną. Należy on do przeżuwaczy (Ruminantia), do rodziny jeleniowatych (Cervinae). Nazywają go „rogaczem, kozłem, sarncem, capem“, słyszałem nawet „podciołkiem“, a chłopi bardzo trafnie „sarkiem“, najwłaściwiej jednak jest „sarnikiem.“ Samicę zowią „kozą, siutą szutą.“ Nowicki zowie ją ryką tj. szutą, co znaczy bezrożną, gdy tymczasem ryka jest to sarna bezpłodna (Geltgais.) Sarnik i sarna to zdaniem mojem i myśliwskie i niewyszukane i dla każdego zrozumiałe.

Obecna terminologia jest dowolna, tak różna i często niewłaściwa, częściej źle z niemieckiego tłómaczona, że nie od rzeczy może będzie kilka słów o tem powiedzieć. Znany jest podział zwierzyny na należącą

oo niższych, średnich i wyższych łowów. Miało to kiedyś swoje uzasadnienie, gdy zająca szczuto tylko chartami, na sarny, więcej dla zabawy, wychodzono z gończymi, a poważnie polowano na grubego zwierza. — W Niemczech stąd też pochodzi: Hoch- i Niederjagd, że głowy koronowane lub uprzywilejowani wyjątkowe mieli prawo do polowania na zwierzęta łowne, jak jeleń, niedźwiedź, głuszec etc. i stąd Hochjagd, a znowu dla wszystkich był zając, sarna etc., zatem Niederjagd. W dzisiejszych jednak czasach prawo dla wszystkich równe i stąd podział taki niewłaściwy. Po co więc dzielić zwierzynę na wyższą i niższą, lub wyższą, średnię i niższą, kiedy nazwy te w zasadzie są fałszywe. Jeżeli ma być podział, niechże będzie, bo słusznie niedźwiedzia z zającem nie godzi się mięszać, ale podzielmy całą zwierzynę na dwie kategorye, na zwierzynę szlachetną i zwierzynę pospolitą.

Do szlachetnych zaliczam następujące z czworonożnych: Żubr, jeleń, łoś, muflon, koziorożec, daniel, kozica, bóbr, niedźwiedź, ryś, dzik, z ptaków: orzeł, głuszec, cietrzew, jarząbek, drop, pardwa, dziki indyk, dziki łabędź, bażant i słomka. Ta ostatnia zaliczona dotąd do łowów niższych niesprawiedliwie, bo to i ptak szlachetny i trudny do strzału i smaczny do jedzenia Zaś do zwierzyny pospolitej należałyby: Wilk, lis, żbik, borsuk, sarna, zając, królik, kuna, wydra, tchórz i łasica; z ptaków: kuropatwa, przepiórka, siewka, dubelt, kulon, batalion, kszyk, gęś, kaczka, ptactwo wodne i błotne w ogólności, dzikie gołębie i drapieżniki.

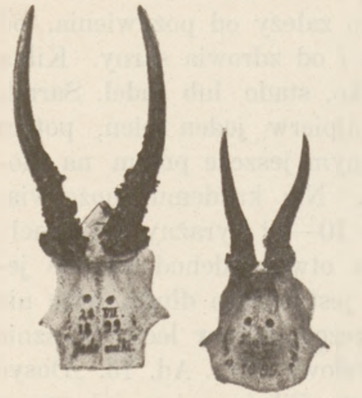
Sarna więc należałaby do zwierzyny pospolitej. Samca sarny różnie nazywają, ale najczęściej spotkać się można z nazwą rogacz i kozioł. Jedna i druga jest zdaniem mojem niewłaściwa, bo pierwsza za ogólna, wszystko bowiem co ma rogi jest rogaczem, a druga poniżająca. Wszakże cap domowy, którego małżonkę doją, a z mleka jej bryndzę robią, także kozłem się nazywa. Więc obie nazwy niewłaściwe, najwłaściwsza to sarnik i tej też w dalszym ciągu tej pracy używał będę. Młode nazywają się sarniaki, koźlęta, sysaki, nigdy cielęta. Miejsce, gdzie sarna leży placem, legowiskiem, leżyskiem. Sarnik ma parostki, w pewnych wypadkach nazywa się mylnikiem, myłkusem, o czem później. Wyjątkowo i koza ma parostki. Sarny żerują, a ślad ich, to trop. Gdy postrzelona, farbuje, bo krwi nie ma, tylko farbę. Głos, który wydaje, jest w różnych okolicznościach odmienny i wtedy piszczy, lub beczy, albo straszy. Sarna także chrapie, ale o tem w rozdziale dalszym. Noga, to badyl lub skok, jak u zająca, stopa rogowa, to ratka, raciczka. Rogowe wyrostki powyżej raciczek, to szpile. — Powiedzieć, że zając ma uszy, to wielki grzech myśliwski, ale o sarnie wolno powiedzieć: uszy, łyżki lub słuchy. Pysk to mordka, zęby znajdują się w dolnej jej szczęce, żuje analogicznie, jak krowa. Miejsce, gdzie serce leży, to komora, tam też mierzyć należy do sarnika. Grzbiet, to comber, tył to lustro lub talerz. Znamię samca, to pędzel, samicy to fartuszek, szczotka, czas popędu płciowego, to ruja. Włosy, to sierść, kolor, to barwa. Wnętrzności, to paprochy, lub patrochy, narogi, nigdy flaki, stąd paproszyć, patroszyć, trzebić. Zdejmować skórę, to obielić, sarna tłusta to łojna. Sarna nie wącha, lecz wietrzy, leni się dwa razy do roku, raz na wiosnę, raz w jesieni i wtedy czerwona jest od czerwca do października, przez zimę zaś bura. Czas ten dokładnie oznaczyć się nie da, bo zależy od pożywienia, od zimy, czy ostra, czy lekka i od zdrowia sarny. Kilka sztuk w gromadzie, to stadko, stado lub rudel. Sarnik zrzuca parostki i wtedy najpierw jeden pień, potem drugi, gdy chodzi on z jednym jeszcze pniem na głowie, tenże nazywa się tyką. Nie każdemu może wiadomo, że sarna ma ogon o 10—12 wyraźnych kręgach, którym, gdy chce, nakrywa otwór odchodowy, Że jednak sierść w tem miejscu jest bardzo długa, więc nie wpada on zupełnie w oko, szczególniej w lecie. Słusznie też czytamy w Lindem przysłowia Rys. Ad. 13. „Dosyć sarnie ogon po żyć“, albo „wysilił się w rozum, by sarna w ogon.“ (ib. 72.). „Włóczy się za nim państwo, by za sarną ogon“ (ib.). Osobne mięśnie sprawiają ruchy ogona i jego okolicy. Stąd to pochodzi, że szczególniej zimową porą, w której lustro po wylenieniu jest białe i przez to większe się wydaje, niż w lecie, gdzie więcej jest sierści żółtej, obserwując sarny uciekające, widzimy jak lustro się porusza i jest raz większe, raz mniejsze. Dzieje się to z pomocą tych właśnie mięśni. U sarn pasących się, chodzących spokojnie, poruszeń lustra nie widać, a ledwo zaniepokojone rozpinają lustro i wtedy świeci ono z daleka. Myśliwy, badacz i przyrodnik, powaga naukowa, dr. Wurm, który dużo o sarnach pisał, rozpisuje się o tem bardzo szczegółowo.

Taką jest mniej więcej terminologia ogólna, specyalne zaś wyrażenia myśliwskie wymienię we właściwych rozdziałach.

ROZDZIAŁ II.

Nazwa rogi na oznaczenie ozdoby głowy sarnika jest z gruntu fałszywa, gdyż tak samo, jak u jelenia wieniec, tak i parostki sarnika są wytworem z kości (wapna, soli i materyi kostnej), a nie materyi rogowej, jak u krowy, kozy i kozicy (Cavicornia), których to rogów zwierzęta te nie zrzucają. Sarna rodzi się normalnie w maju i czerwcu. Zdarzały się wypadki kocenia się sarn w marcu, ba, nawet w lutym na śniegu. Naturalnie, że sarniaki takie ginęły. Już w połowie kwietnia widzimy sarny kotne, odłączające się od rudla, lub od sarnika, lub od drugiej kozy i wychodzące na żer w pojedynkę. Brzuch mają obwisły a wymiączka nabrzmiałe. Sarniak jest czerwony i ma białe plamki, centki po sobie, które gubią się z czasem, tak że po kilku miesiącach, sarniak jest barwy matki.

Samcowi sarny, gdy skończy cztery miesiące namacać można pod skórą, na czaszce, dwa guziołki, zwane guzami, na których to spoczywają parostki a wyrażając się dokładnie, część ich integralna róża, z której pień, a z którego znów odnogi wyrastają. W jesieni sarniak staje się bury, zmieniwszy barwę, a guzy widać mu już z bliska na czole. Jest on wtedy „kicem“ do nowego roku. Kica zaś wprawne oko rozpozna w rudlu po stosunku wielkości; widać bowiem, że jest to sarna jeszcze nie wyrośnięta. Dopiero z wiosną wypuszczają mu się pierwsze parostki i wtedy zowie się śpiczakiem. Parostki te są to dwa gładkie pnie o małych różach, słabem uperleniu, wysokie na 5, 8 i 15 cm.; rzadko więcej.



Pierwsze te parostki zrzuca sarnik w jesieni, zwyczajnie później, nawet w początkach zimy jeszcze je widzieć można, a z wiosną dostaje nowe o jednej odnodze i wtedy jest widłakiem. Odnogi nazywa się także latoroślami, rosochami. Długość parostków tych nie da się w centymetrach oznaczyć, róże są już większe i uperlenie lepsze. W jesieni znów zrzuca te rogi, a z wiosną wypuszczają się nowe o dwóch odnogach. Wtedy sarnik jest szóstakiem, a normalna miara parostków jego wynosi przeciętnie 24 cm. — Stary Diezel, którego dzieło zresztą jest wyborne, oburza się na nazywanie sarnika szóstakiem. Nazywa on go „guter Bock.“ Oburzenie to jest nieuzasadnione, już ze względów praktycznych, bo właśnie teraz, kiedy podjazd staje się i u nas w racyonalnie prowadzonych polowaniach główną drogą do odstrzeliwania sarnika, nazywanie go według odnóg, widłak, szóstak, ósmak etc. jest najprostszą rozmową w lesie, gdzie jak najmniej się mówić powinno.



Idąc zatem od róży w górę, pierwsza odnoga rosnąca naprzód, nazywa się przednią, nie oczną, bo tę tylko ma jeleń, druga to tylnia, rośnie w tył, a trzecia to przedłużenie pnia, prosto w górę. Posiadam parostki mylkusa widłaka, który na lewym pniu ma odnogę, zbliżoną do odnogi ocznej.



Każde parostki, gdy wyrastają, pokryte są skórką z włosami, która zowie się „scypułem, mchem“, parostki zaś takie „kosmate.“ Tę kosmatość wyciera sarnik, gdy, parostki zupełnie są już wykształcone. To znaczy, że trze on rogami o gałęzie i cienkie drzewa, aby się pozbyć scypułu. Wtedy dopiero stają się one gładkie i nabierają koloru. Wycieranie to odbywa się w kwietniu i maju, a czasem później.



W tym to czasie spotyka się w knieci połamane gałązki, a na nich farbę i mech. Niektóre sarniki wycierają parostki na ulubionych sobie miejscach i drzewach. — Gdy szóstak zrzuci, ma on albo parostki znów szóstaka, albo też widłaka, a nawet czasem spiczaka (w tym wypadku grube i silne) ósmaka lub mylkusa. (C. d. n.).

FARYS.

To niemieckie są wymysły:
Jakiś „training“, jakiś „start“:
U mnie panie! próba konia:
Dobre pole — szarak — chart!
Miałem szkapę białonóżkę,
Swego chowu... Wiatr nie koń!
Grubopłaski, noga sucha,
Chrap rozdęty, choć kładź dłoń —
Szyjka sarnia, pierś wypukła,
Skórę siatka kryła żył,
A już chody — proszę siadać!
Jak w poduszkach człowiek tkwił!
Polowałem na nim lata,
Harapnikiem bierał kot...
Najtęższego panie! gracza
Razem z psami doszedł w lot!
A raz nawet... Ot opowiem:
Kronikarskich godne akt —
Sforsowałem na nim lisa
Po pod śniegiem... Słowo! fakt!
Zima była dyablo kopna,
Śnieg po chałup sięgał dach,
Zasypało drogi, pola,
Kędy spojrzeć biały łach!
Ani sposób ruszyć z domu...
Siedzę tedy zły jak bies!
Aż tu — panie — wpada psiarczyk
Z krzykiem, że za sadem... lis!
Dawaj konia! psy na smycze.
W pół pacierza mamy trop...
Lis obkładał „okrawkami“,
Haukując tak jak chłop.
Dojechaliśmy na oko...
Wyczha, pieski! heżgo! hop!

Poszły wierzchem po lodówce...
Koń zapada po sam łeb!
Śnieg był górą przymarznięty,
Ale dołem istny puch!
Co się zbierze białonóżka
To po szyję w zaspę buch!
Co tu robić? tracę głowę!
Wtem mój szkapka... nagle... w mig!
Wyciąga się jako struna
I chrapami prosto w śnieg.
W pierwszej chwili — nie zapieram —
Wstrząsnął piersią całą dreszcz...
A mój szkapka płynie w śniegu,
Niczem w wodzie karp lub leszcz!
Przejechałem jak tunelem,
Po pod tropem lisim w cwał...
Nim mykita dopadł lasu
Jam mu panie! obrót dał.
Psy dopadły z drugiej strony
I za „kitę“... zaraz cap!
Ja mu, panie harapnikiem,
Z białonóżki... perła szkap!
Lis był olbrzym! okazały,
Upasiony jako pień!
Nie wierzycie? Słowo daję!
Mam lisiurkę po dziś dzień!

(Kur. pol.). *Jacyna.*

KORESPONDENCYE.

Dublany, 7 listopada

Dnia 23 października, odbyło się polowanie w Lipniku u p. Zygmunta Łastowieckiego, na którem w 12 strzelb a w sześciu miotach, na 153 strzałów, padło 5 lisów, 6 rogaczy, 59 zajęcy i 3 słonki. Dziwne zdarzenie na tem polowaniu miał p. Z., ten sam, o którego przygodzie z bażantem była wzmianka w szpaltach *„Łowca.“* Otóż w jednym miocie strzela do zająca i spudłowawszy raz, poprawia — no i zając ruluje; zabija jeszcze drugiego i cieszy się z wyniku, nie pożądając więcej. Lecz Dyana, która już od dłuższego czasu szczególniejszemi łaskami otacza p. Z., przygotowała dla niego niespodziankę, bo oto nagonka wynosi na niego, prócz tych dwóch zajęcy, słonkę, i to z tego miejsca, którędy śruty, którymi chybił do zająca, grubą warstwę liści usunęły. Tak więc nie wiedząc, nic o tem, p. Z. zrobił ładną dubletę.

Nazajutrz już nie udaliśmy się rano do lasu, lecz wieczorem na posadzkę salonu, gdzie przetańczyliśmy całą noc, a po białym mazurze przyszliśmy do przekonania, że przecież bez porównania większą jest przyjemnością polowanie, aniżeli najładniejszy nawet bal, a to o tyle, o ile przyjemniej być myśliwym, aniżeli zwierzyną, lub też postrzelić śrutem, aniżeli być postrzelonym zabójczą strzałą Amora.

Dnia 26 października polowaliśmy w 12 strzelb w Hadlach u p. Piotra Łastowieckiego. Tutaj nie ilość, ale jakość i różnorodność ubitej zwierzyny, delektowała oczy myśliwych. Wieczorem, na rozkładzie, przy świetle pochodni ujrzeliśmy dzika, wydrę, 2 lisy, rogacza, 11 zajęcy, i 2 słonki; prócz tego widziano jarząbka i kuropatwy, a strzelano do wielkiego odyńca. Niezawodnie więcej powinnoby paść, gdybyśmy byli nieco lepiej lufy nadstawiali, lecz Hadle mają już osobliwszego pecha, gdyż i nieźle strzelający myśliwi, tam jakoś śrutami szpikują jodły i buki. Muszę się ze wstydem przyznać, że ja głównie należałem do tej kategoryi dekoratorów lasu hadelskiego, być może, że z powodu wyżej wzmiankowanych strzał Amora, których lekkie draśnięcie po tem salonowem polowaniu przy muzycznej nagonce niby coś poczułem. Wieczorem po smacznym obiedzie, grany przez dzieci gospodarstwa teatr, skrócił przyjemnie wszystkim wieczór. Nie uczyniłbym tutaj wzmianki o tej zabawie, ale widziałem, że widzowie wszyscy tak rozczuleni byli grą małych aktorów, że dzieci tak wyuczyły się swych ról i z taką swobodą wobec dość licznego audytoryum wygłaszały francuską sztukę, że gdy opisywałem polowanie hadelskie i ten wieczór, tak przyjemnie spędzony, przyszedł mi na myśl i dlatego ośmieliłem się podać go w szpaltach *Łowca.*

Dnia 28 października na polowaniu w Sieteszy u p. Higiniusza Łastowieckiego w 11 strzelb padło 9 lisów, 1 rogacz i 15 zajęcy. Wprawdzie nic na mnie prócz jednego zajęczyny nie wyszło, jednakowoż miałem dostateczną przyjemność przypatrując się w drugim miocie defilującym przez linię lisom. Naliczyłem ich dziewięć, a z tego sześć futrem przepłaciło swą śmiałość. Pierwszy miot wieczorem drugi raz jeszcze goniono i znowu było cztery lisy, lecz te bez szwanku poszły, by jeszcze czas jakiś cieszyć się życiem i zdrowiem. Wobec takiej ilości lisów nie może być oczywiście zajęcy, czem się też tłómaczy tak mała liczba zabitych. Wieczorem już ani panny widokiem ładnych figurek oczu nie nęciły, ani dzieci komedyjką nie bawiły uszu, inna przyjemność nas oczekiwała, a mianowicie trzy rozłożone stoliki z kajenną z niecierpliwością czekały na druhów myśliwskich, którzy, obfitemi daniami sumiennie zaspokoiwszy wilczy apetyt, usiedli na parę godzin do kart.

Nic więc dziwnego, że tak zabawiwszy się dobrze w kniei, w tańcu, na tennisie i przy wiście, z żalem opuszczałem strony rodzinne i tem się pocieszałem, że gdy lasy przyobleką białą, puszystą, śniegową szatę, gdy pola i łąki ozdobione zostaną miliardami brylantów grudniowego mrozu i na wszystkie strony spisane tropami szaraków i chytrych mykitów, to wówczas powrócę w rodzinne pielesze i znów przez kilka dni delektować się będę pięknością natury, pełną piersią odetchnę czystem powietrzem, zabawię uszy odgłosem nagonki przerywanym strzałami, by tak uczciwie i przyjemnie spędziwszy ferye Bożego Narodzenia, powrócić do nauki i wykładów.

Dublańczyk.

Tarnów, 5 listopada 1899.

Gdy grają — amator muzyki mimowoli nadsłuchuje, rozróżnia złe i dobre tony, gdy ma odrobinę słuchu muzycznego.

Wyczytawszy w Numerze 21 „*Łowca*" sprawozdania z łowów na jelenie w Karpatach, trudno mi nie wspomnieć o rzadkiej w powiecie tarnowskim parze, jaka w te strony zawitała. Od wiosny trzymała się w lasach około stacyi kolei państwowej Czarna, w okolicy Żdżar, para jeleni i o ile można było skonstatować dwunastak rogacz i jego zacna małżonka. Dopóki małżeństwo to znalazło gościnny przytułek w lasach księcia Eustachego Sanguszki, wiodło spokojny żywot, respektowane przez sarny, których tutaj jest mnóstwo — skoro jednak chciały rozpatrzyć się po okolicy— i, przekroczyszy terytoryum powiatu tarnowskiego, udały się w odwiedziny do powiatu Pilzneńskiego, łanię postrzelono w Łąkach, gdzie ją po kilkunastu dniach znaleziono w krzakach w stanie zepsutym — pozostały zaś małżonek, nieutulony po stracie swej połowicy, dotąd pędzi żywot tułaczy. Wrzesień minął bez rozgłosu, bo mimo ścisłej obserwacyi rogal nie ryczał, jak to czynią jego bracia w Karpatach.

Stan sarn w lasach ks. Sanguszki jest znakomity — to jednak nikogo nie zadziwia. Podróżny wyjeżdżający z Tarnowa drogą powiatową Tarnów-Żabno może o jeden kilometr od miasta zobaczyć stado sarn 40—60 sztuk, które w zimie podciągają pod same miasto i wracają do Chyszowa, najbliższej wioski ks. Sanguszki pod Tarnowem.

Kuropatwy na glinkach nie dopisały w tym roku — za to na piaskach, szczególnie w powiecie dąbrowskim, wylęgły się znakomicie i myśliwi mogli się nastrzelać do syta czego dowodem jest fakt, że dwaj myśliwi z dobrymi psami rasy angielskiej w jednym dniu strzelili 70 sztuk kuropatw, z których trzy czwarte części przypadło na koguty.

Zajęcy stosunkowo jest tutaj mało, jakkolwiek Zarząd dóbr ks. Sanguszki otacza je opieką i gdy stan zajęcy się zmniejsza, na nie nie poluje.

Nadmierna liczba lisów — stawianie sideł przez kłusownika — handel zwierzyną bez zachowania przepisów ustawy łowieckiej, wpływają na zmniejszanie się tutaj ilości zajęcy.

Byłoby wskazanem, aby delegaci Towarzystwa łowieckiego przy pomocy żandarmeryi lub policyi często zwiedzali handle dziczyzną i badali jej pochodzenie. — Gdyby kłusownik nie miał sposobności pozbycia skradzionej zwierzyny — nie oddawałby się temu przedsiębiorstwu z takim zapałem, jak dotąd.

Dr. Eugeniusz Wojnarski.

Rzeszów, 13 listopada 1899.

Z tegorocznego rykowiska w galicyjskich Karpatach.

Pospieszam podzielić się z szan. czytelnikami autentycznym epizodem z tegorocznego rykowiska. Miejsca i nazwisk nie podaję, gdyż boję się, abym nie ściągnął na siebie gniewu niefortunnego myśliwego, którego w tym dniu pech myśliwski nie opuszczał ani na chwilę.

Wróciliśmy o godz. pół do dziewiątej rano do naszej kwatery z rannego pochodu. Zmęczeni spożywamy skromne dary Boże w postaci herbaty, szynki, jaj na miękko i t. p. specyałów. Podpisany, posiliwszy się dostatecznie, a pamiętając o zgłodniałych, a zupełnie łaskawych kurach, wyszedł przed leśnictwo, by je okruchami pokarmić.

Jakaż była moja radość, gdy wyszedłszy przed dom, usłyszałem w odległości 600 do 800 kroków najregularniejszy ryk kilku jeleni.

Naturalnie wpadam do pokoju, gdzie moi trzej koledzy w św. Hubercie opowiadają sobie niefortunne podchody dzisiejszego ranka i oznajmiam im to, co z ganku najdokładniej słyszałem. Ciągniemy na prędce węzełki — los wybiera pana X., towarzyszy mu zaś bez broni pan Y. jako przewodnik; ja i drugi nasz towarzysz siadamy na ganku i słuchamy, co się stanie. Jelenie ryczą wspaniale (godz. 9 rano), z ganku, nie widząc nic, po głosie poznajemy, którędy spacerują.

Po kilku minutach słyszymy dwa pojedyncze strzały w dużym stosunkowo odstępie. Po strzałach biegniemy naturalnie z moim towarzyszem w głąb lasu i widzimy najpierw dobrego dziesiątaka przed nami w odległości 40 kroków, równocześnie na prawo od nas przechodzi zupełnie spokojnie gruby jeleń na odległość kilkunastu kroków. Spieszymy dalej do strzałów i zastajemy pana Y. w możliwie najgorszym humorze, pana X. zaś z nosem na kwintę spuszczonym.

I oto jak się awantura miała: Pan Y. znając dokładnie wszystkie ścieżki i płaje, podjął się p. X. podprowadzić pod ryczącego bynia; tymczasem łania wziąwszy 2 najgrubszych konkurentów ze sobą, przechodziła z jednego rewiru do drugiego i na płaju spotkała obu myśliwych. Pan Y. widząc, że z tyłu maszeruje gruby jeleń, nie pozwolił p. X. do pierwszego czternastaka strzelić; łania zatem z pierwszym jeleniem niespłoszona przedefilowała przed myśliwymi, a w parę sekund później na odległość 30 kroków tym samym tropem przyszedł szesnastak i zwietrzywszy prawdopodobnie niebezpieczeństwo, stanął na połeć w całej swej okazałości. Pan X. strzelił z tej odległości pierwszy raz; po strzale jeleń zrobił susa i przystanął znowu; pada drugi strzał do stojącego jelenia — tego było mu naturalnie za dużo, więc zdrów i cały pospieszył za piękną łanią szukać rozkoszy miłości w spokojniejszych ostępach leśnych.

Skonstatowaliśmy następnie, że owe dwa jelenie, które spotkaliśmy idąc do strzałów p. X. były inne, bo te z tego rewiru za łanią nie przeszły, spłoszone strzałami — prócz tych zaś widzianych czterech jeleni, trzy jeszcze śpiewały na samym szczycie pieśń miłosną do południa; siedm zatem ryczących jeleni mieliśmy tego ranka w najbliższem sąsiedztwie naszej kwatery, z których 4 mogły być strzelone z łatwością, lecz my, nie przypuszczając czegoś podobnego, zostawiliśmy expresy w domu.

Mnie także Dyana nie bardzo sprzyjała w tym roku, bo chociaż zabiłem ładnego dziesiątaka, drugiego jelenia postrzelonego i farbującego na obie strony nie doszedłem— trzeciego chybiłem zupełnie, jak student na wakacyach, patrząc na zwierza tylko, a nie po szynie — ale nic dziwnego — bo to był pierwszy jeleń, do którego w mem życiu strzelałem, a twierdzą dobrzy myśliwi, że pierwszego jelenia zwykle się chybia.

Lecz najbardziej żal mi jelenia najgrubszego, którego nazwaliśmy dziadziem, a któremu poświęciłem tydzień cały. Ten tylko przypadkiem wykpił się od mojej kuli. Rzecz miała się jak następuje:

Dziadzia wysłuchałem wieczorem 23 września w rewirze, w którym zwykle gospodarował. Ponieważ z po-

wodu spóźnionej pory o podchodzie nie było mowy, wybrałem się rano o godz. 3ej następnego dnia na jego spotkanie. Z dala już usłyszałem sędziwego dziadunia ryczącego w tem samem miejscu, w którem się wczoraj wieczorem meldował, a zdawało mi się, że na samym grzbiecie, t. j. o 2 godziny chodu. Po uciążliwym marszu dostałem się do płaju, króry mię miał do jelenia zaprowadzić. Ponieważ mi się zdawało, że dziadzio daleko, a noc jeszcze ciemna była, więc zatrzymałem jeszcze przy sobie pobereżnika z płonącą latarnią. Nie uszliśmy jeszcze dwustu kroków pod górę, gdy dziadzio zaryczał na lewo od nas w odległości kilkudziesięciu kroków. Naturalnie światło zgasiłem natychmiast i postanowiłem zaczekać brzasku dnia i by po ryku dokładnie oznaczyć, gdzie dziadzio stoi. Minuty zdawały mi się wiekiem, a dziadzio milczał jak zaklęty. Po długiem, a męczącem oczekiwaniu — rozjaśniło się na wschodzie, kosy zaczęły świstać i dziadzio zaryczał. Wiedziałem zaraz, że stoi w małem zagłębieniu na lewo od płaju; postanowiłem ścieżynką podejść pod niego, co nawet bardzo było łatwem — pobereżnika zaś zostawiłem za pniem, koło którego tak długo czekaliśmy.

Wyobraź sobie szanowny czytelniku mój pech, z drugiej strony szczęście sędziwego dziadzia: ledwie uszedłem dwadzieścia kilka kroków płajem w dół i wszedłem na ścieżynkę na lewo w gąszcze młodej świerczyny, które mi na chwilę cały widok zasłoniły, dziadzio wyszedł zupełnie spokojnie na pobereżnika na odległość 12 kroków — pomimo dobrego wiatru, zdaje się zwietrzył bliskość człowieka — stanął w całym majestacie i zaczął się w okolo rozglądać. Trwało to kilkanaście sekund, strzelić można było kilka razy; — nareszcie dziadzio pobereżnika wypatrzył, na miejscu zawrócił — załamał kilka sucharów i zniknął. Wszystko to słyszałem doskonale, wiedziałem zaraz, że dziadzio znów się wykpił i nie wiele brakło, a byłbym gorzkiemi łzami zapłakał, bo gdybym był jeszcze kilkanaście sekund przy pobereżniku się zatrzymał, strzeliłbym do niego jak do kopicy siana, a przypuszczam, że na tę odległość bym nie chybił.

Pobereżnik mi powiedział, że jeszcze takiego jelenia nie widział, a gałęzi nawet się doliczyć nie mógł, chociaż czasu miał dość. Pocieszam się tem przynajmniej, że dziadziowi przecież kiedyś powiem „dzień dobry“ lub „dobry wieczór“, bo po tem fatalnem spotkaniu zaprzysiągłem mu „do widzenia.“

Pierwszy raz w życiu byłem w tym roku w górach na rykowisku; polowanie to bardzo uciążliwe, a jednak tyle ma uroku — tyle sprawia emocyi, że nawet się nie silę na opisanie jego, lecz radzę każdemu z szanownych czytelników, komu zdrowie i czas pozwala, niech zakosztuje tej rozkoszy, bo tych wrażeń do śmierci zapomnieć nie można.

Edmund Rylski.

Sudkowice, 12 listopada 1899.

Z powiatu mościskiego o powiecie liskim.

Korespondencya z powiatu liskiego, umieszczona w „*Łowcu*“, z 1 listopada b. r. słusznie ubolewa nad tem, że w wielu gminach tego obszernego, górskiego powiatu przepisy ustawowe co do łowiectwa nie są przestrzegane.

Szczegóły tej korespondencyi, o ile odnoszą się do bliższej okolicy miasta powiatowego Lisko, dają zapewne wierny obraz tamtejszych stosunków łowieckich, bo korespondent, stale mieszkający w Lisku i znany jako dzielny i bardzo sympatyczny myśliwy, ma ciągłą sposobność dokładnego poznania tamtejszych stosunków.

Natomiast niektóre szczegóły tej korespondencyi, dotyczące tak oddalonego od Liska okręgu lutowiskiego, mniej są dokładne.

Wyliczając bowiem wyraźnie i sumiennie te nieliczne gminy, w których, według zdania korespondenta, ustawy łowieckie są przestrzegane, piętnuje ta korespondencya tem samem wszystkie niewyliczone obszary jako takie, w których gospodarka myśliwska jest ujemna.

Otóż w tym kierunku, o ile tu chodzi o okolicę Lutowisk, poczuwam się do obowiązku poczynienia kilku sprostowań, a raczej uzupełnień.

Od szeregu lat dojeżdżając w rozmaitych porach roku — a także podczas rykowiska jeleni — do majątku mego brata, położonego w tej okolicy przy granicy węgierskiej, zaznajomiłem się ze stosunkami łowieckimi w tym górskim zakątku.

Mogę więc sumiennie stwierdzić, że w Berehach górnych, w Nasicznem i w Caryńskiem (w których to obszarach dawniej gospodarka łowiecka była iście barbarzyńska: strzelano bowiem do łań, niższy personal leśny nosił strzelby i był prawie bez kontroli, etc.) od sześciu lat panuje widoczna i skuteczna staranność o przestrzeganie ustaw łowieckich i przepisów racyonalnego gospodarstwa myśliwskiego; w tym to okresie czasu na tych obszarach ustało dawniej praktykowane niepokojenie zwierza przez psy gończe, nie strzelano ani razu do łań, ani nawet do jelenia poniżej dziesiątaka, a przeciw coraz rzadszym wypadkom kłusownictwa występuje tamtejszy personal leśny z pochwały godną energją.

Wobec tego istotnego stanu rzeczy opuszczenie Bereh górnych, Nasicznego i Caryńskiego w publikowanym w korespondencyi z Liska spisie gmin, w których gospodarstwo myśliwskie jest prawidłowe, wydaje mi się krzywdzącem.

Z drugiej zaś strony między gminami, wychwalanemi w tej korespondencyi, znajdują się takie, w których zdarzyły się właśnie w ostatnich latach wypadki, widocznie korespondentowi nieznane, jak na przykład zabicie łani.

Tak samo korespondencya z Liska wymienia między racyonalnie myślistwo uprawiającemi gminami obszar, w którym stale poluje się z psami gończymi na jelenia; nie jest to wprawdzie ustawowo zakazanem i nie da się zaprzeczyć, że każdemu wolno u siebie polować, jak mu się podoba, czy jednak takie uprawianie myślistwa zasługuje na podobną i wyróżniającą wzmiankę w „*Łowcu*“ — rozwiązanie tej kwestyi pozostawiam spokojnie tym myśliwym, którzy wśród uroczej ciszy gór karpackich sami podchodzili jelenia, króla zwierzyny.

Dyonizy Pogłodowski.

Lwów, 6 listopada 1899.

W dniu św. Huberta pogoda, jakby dla uczczenia patrona myśliwych, była w tej jesiennej porze wyjątkowo piękną. Byłem właśnie wtedy w gościnie u właściciela Okocima, dokąd też, dowiedziawszy się o moim pobycie, przyjechał hr. Artur S., znany czytelnikom „*Łowca*“ z swych interesujących korespondencyi. Wnet zeszliśmy na temat opowiadań myśliwskich i przygód z ostatnich rykowisk na jelenie, a gospodarz, chcący zawsze przewidzieć i prze-

czuć czemby mógł zrobić największą przyjemność swym gościom, zaproponował, abyśmy korzystając z pogody zrobili przechadzkę ze strzelbami. Projekt, który nam zupełnie nie zrobił przykrości, jednogłośnie przyjęliśmy i prędko zebrawszy się, wyruszyliśmy przez park do pobliskiej rzeczki Uszwicy, która wije się krętą wstęgą wśród malowniczych wzgórków. Z obu stron Uszwicy brzegi są zarośnięte wikliną koszykarską i w niektórych miejscach małymi świerkami.

Ustawiliśmy się z hr. S. po obu stronach rzeczki, idąc krajem zarośli. — Gospodarz postępował za mną nie mając już dla siebie stanowiska. Środkiem pędziła nagonka. Nim zaczeliśmy polować spodziewałem się niemałej ilości zwierzyny, znając gospodarza jako zamiłowanego myśliwego, jednak tym razem ilość i różnorodność zwierzyny była dla mnie niespodzianką. Tylko ruszyliśmy z miejsca, idąc wzdłuż rzeki, z krzykiem zrywały się bażanty, kuropatwy i stada dzikich kaczek — na wszystkie zaś strony przemykały się sarny i zające, do których jedynie przy końcu dnia strzelaliśmy w kilku rewirach, pomimo, że w tym kierunku nie mieliśmy ograniczeń. Spotkaliśmy też dwie słonki, a dziwnym się wyda, że wśród wielkiej ilości zwierzyny, a w szczególności bażantów, były i dwa lisy, które jednak daleko przed nami wyniosły się.



Jako rezultat naszej przechadzki, leżało wieczorem na rozkładzie: 54 bażantów, 48 zajęcy, 3 rogacze, 3 kaczki, 3 kuropatwy. Dwa rogacze były z rogami, a jeden bażant miał jasno srebrne upierzenie.

Mistrzem w prowadzeniu polowania i podnoszeniu zwierzostanu okazał się w całej pełni tego słowa znaczeniu leśniczy w Okocimie, p. Ring. Bażanty chowa w dzikim stanie, nie wyłapując ich zupełnie na zimę, jedynie mają budki nakryte gałęziami świerkowemi, w których dostają jako pokarm zboże poślednie.

Przed 3ma laty zakładając bażantarnię, puszczono 20 kur i 8 kogutów, a następnego roku 10 kur z innego gniazda, co było początkiem obecnej bażantarni.

W przyszłym roku obiecuje p. Ring jeszcze o wiele większą ilość bażantów i zwierzyny w ogóle, a widząc tegoroczną próbkę mam w zupełności nadzieję, że słowa dotrzyma. *J. C.*

Makuniów, w listopadzie 1899.

Polowania błotne. — Stan kuropatw, zajęcy i sarn. — Kto chce mieć zwierzynę musi ją strzelać. — Rzadki gość. — Jesienny ciąg słonek. — Dzikie kaczki.

Rok ten u nas o ile był pomyślny dla rozwoju naszej, swojskiej zwierzyny, o tyle zawiódł nas w nadziejach co do polowań błotnych. Gdy wiosennego ciągu słonek prawie nie było, a strzelba kończyła już swoje „*saison morte*“ na kołku, zacieraliśmy z radości ręce na myśl o bliskich polowaniach błotnych, a w bujnej fantazyi rachowaliśmy już na setki zabite kszyki i dubelty.

To też pięknego poranku w drugiej połowie lipca zbudziłem z ciężkiego snu moją tesznerkę, Otrząsła się z kurzu, obmyła z rdzy biedaczka, wsiadła ze mną do wózka i z psem we trójkę popędziliśmy na błota. Ale cóż za zawód nas tam spotkał! Na wspaniałych, kilku tysięczno morgowych błotach, gdzie w ubiegłych latach biło się ptactwa na setki, pusto było i smutno. Tłumaczyłem sobie, że jeszcze za wcześnie i za mokro, bo wskutek długiej słoty znaczna część błot pod wodą się znajdowała. Wróciłem do domu ze spuszczonym na kwintę nosem, ale z nadzieją w sercu, że na przyszły raz będzie lepiej. Niestety nadzieja była zwodniczą! zajaśniała śliczna stała pogoda, wody wyschły, błota przybrały tę śliczną, sobie właściwą, a tak myśliwego nęcącą postać. Świeża, młodziutka trawka drgała pod podmuchem lekkiego, upał sierpniowy chłodzącego wiatru. Wchodziłem na błoto z rozkoszą, ale po kilku minutach następowało rozczarowanie, a po całodziennej męce wracałem zniechęcony do domu. Ile razy później powtórzyłem moją wyprawę, tyle razy spotykał mnie zawód i do tego doszło, że mój pies z widoczną niechęcią mi towarzyszył, jakby wiedział z góry, że na

darmo się męczyć będzie. O powodach tego braku kszyków i dubeltów rozmaite robiliśmy przypuszczenia; mnie się zdaje, że wyjątkowe mrozy czerwcowe, które nam w ziemiopłodach nie mało w tym roku narobiły szkody, zniszczyły całe młode, nie dawno z jaj wykłute, długodzióbe pokolenie.

Św. Hubert jest prawdziwie sprawiedliwym i łaskawym patronem myśliwych! Doznane zawody na błotach wynagrodził nam hojnie w czemś innem. Stan kuropatw był tego lata w naszych stronach tak świetny, że zadowoliłby nie wiem jak wybrednych myśliwych. Gdy żniwa się ukończyły, a na polach zostały jeszcze gdzieniegdzie kawałeczki późnych owsów, prosa i kartofli, stada zrywały się nam jedne po drugich. Nie potrzeba było ich wysłuchiwać. Idąc w pole, wiedziało się, że musi się kilka stąd ruszyć. Padło u mnie tego lata 110 kuropatw, a około pięćdziesiąt zostało ich na rozmnożenie, gdy w ubiegłych latach biło się po 20 sztuk tych ptaków. To dowód, że, by mieć kuropatwy, nie trzeba ich z Czech sprowadzać, ale przy kilkuletnich staraniach i pomyślnych warunkach atmosferycznych można swoje rozmnożyć.

Tu niech mi będzie wolno poruszyć kwestyę jedną ważną, tyczącą się hodowli zwierzyny swojskiej, a szczególnie kuropatw. Z mojem zapatrywaniem, wiem, że nie wszyscy zgodzą się myśliwi, ale sądzę, że niżej przytoczonymi dowodami przejednam niektórych z przeciwników mojej maksymy: „Kto chce mieć u siebie zwierzynę (naturalnie nietylko na półmisku) musi ją strzelać!" Nie znaczy to, żeby ją wybić do nogi, ale znaczy, że trzeba jej wybić rocznie tyle, ile do przyszłego jej rozwoju to potrzebne. Znam właścicieli polowań, którzy od lat wielu nie pozwolą zabić jednej kuropatwy w swym rewirze, czekając ciągle na ich rozmnożenie, inni strzelają je ciągle u siebie. I rzecz zdawałaby się dziwna! Ci, co tak szanują, mają ich tyle u siebie, albo nawet mniej, niż ci, co strzelają! A dlaczego? Odpowiem zaraz:

W tym roku, na zabitych u mnie już w późnej jesieni 32 kuropatw, których już dokładnie płeć rozróżnić można było, kogutów było 25, a kur 7, czyli, że stosunek samców do samic był prawie jak 4 do 1. Popatrzmy teraz, co się dzieje na wiosnę, kiedy kuropatwy idą w pary ze stadkiem złożonem, przypuśćmy, z 12 sztuk, w którem jest 8 kogutów i 4 kury. Zaczyna się walka o miłość między kogutami, której wynik jest ten, że kury zostają niezapłodnione, a jeżeli której uda się znaleźć męża, ucieka z nim milami, by daleko od reszty konkurentów zaznać słodyczy miłości i wychować w spokoju potomstwo. Na tem traci niezmiernie rewir macierzysty, a zbiegi z niego szukając ciszy dostają się tam, gdzie kuropatw zupełnie nie ma, gdzie ich więc być nie może, bo nie ma nad niemi opieki i tak to przyszłe stadko idzie na pewną zagładę. Gdy się na kuropatwy rok w rok racyonalnie poluje, rzecz ma się całkiem przeciwnie. Strzelając do pierwszych ze zrywającego się stada prawie na pewne zabija się koguty, późną zaś jesienią na polowaniach z naganką, gdy strzela się do kuropatw na „tire haut", każde średnio dobre oko rozpozna samca po jego podkowie, kury więc zaszanować można bardzo, a w reszcie stadka na wiosnę łączenie się w pary odbywa się bez trudności, a jeżeli się trafi nadliczbowy, wzgardzony kogut, przyjmuje z pokorą swój los starokawalerski i przyłącza się później do stada jako „niańka."

Dowody tu przytoczone opieram na mem własnem doświadczeniu, jak i na zdaniach wielu starszych odemnie myśliwych i powtarzam raz jeszcze, że kto chce kuropatwy rozmnożyć, musi je strzelać, bo Bóg je na ten cel przeznaczył i rozkazał przyrodzie, by rodziła o wiele więcej samców jak samic.

Rzecz ma się analogicznie z zającami. Jeżeli ktoś myśli, że kniei, w której kilka lat nie polowano rozmnożyło się więcej zajęcy, niż w niej było przed ostatniem polowaniem polowaniem, grubo się myli. By chcieć rozmnożyć, polować się musi regularnie bez względu, czy zwierzyna wyginęła wskutek ostrej zimy lub motylicy, czy nie, chyba, że sprowadzi i wpuści się do rewiru na wiosnę stosowną ilość samic. Dlaczego? Rzecz prosta. Przytoczę przykład: Jeden z moich sąsiadów, stary i doświadczony myśliwy, proszony był raz w ostatnich dniach stycznia na polowanie przez głównego leśniczego w państwie Rudnik, własności śp. hr. Hompescha. Sąsiad przyjeżdża i wiedząc, że hrabia sam myśliwy, dziwi się, że służba sama w jego nieobecności poluje. „Musimy polować sami — odpowiada zagadnięty leśniczy, Czech — hrabia za granicą, a tu już koniec stycznia. Polowanie na zające odbyć się musi, bo inaczej stosunek samców do samic będzie zły i stan zajęcy na tem ucierpi."

„Ależ to w takim razie tylko samce strzelać można — zawołał mój sąsiad — a to przecież nie możliwe."

„Niech pan będzie spokojny — odparł leśniczy — że dziś mało co samic zabijemy, o czem pana po polowaniu przekonam."

Polowanie się rozpoczęło. Naganka miała rozkaz iść spokojnie i zające na nią wracające puszczać między siebie, a gości proszono, by nie strzelali do zajęcy ostatnich, które już przed samą obławą na linię wyskakiwały. Po polowaniu pokazało się, że na pięćdziesiąt kilka zabitych zajęcy, było 50 samców, a ledwie kilka samic. Leśniczy widząc zdziwienie mego sąsiada, tak mu rzecz tę wytłumaczył:

„W polowaniach z naganką samiec zając idzie chętniej naprzód niż samica, która wraca zwykle na obławę. Strzelając więc tylko te zające, które idą na linię, a szanując te, które się wracają, możemy być pewni takiego jak dziś, rezultatu. U nas w Czechach i w Austryi praktykuje się w ten sposób od lat niepamiętnych, a rezultat jest świetny."

I ma racyę ten leśniczy! Przekonałem się o tem sam u siebie i przekonać się może łatwo każdy, kto kilka zabitych pierwszych w miocie zajęcy dokładnie obejrzy. Z tego wyż przytoczonego przykładu wynika jasno, że moja maksyma: „strzelaj, a będziesz miał zwierzynę" ma racyę bytu, a w ślad za nią i zdanie wielu, „że za myśliwym zwierzyna ciągnie" ma swoje usprawiedliwienie.

Stan zajęcy jest u nas w tym roku świetny. Sarny w ostatnich kilku latach rozmnożyły się bardzo, ale jeszcze daleko do tego, by ich ilość zadowolniła dbającego o rozwój zwierzyny myśliwego. Jeszcze dużo trzeba u nas na tem pracować polu.

Mieliśmy tu w połowie sierpnia rzadkiego gościa, pierwszego może od tych czasów dalekiej przeszłości, gdy ziemia dziewiczymi lasami pokrytą była, a tam, gdzie teraz myszy kończą dojadać nasze oziminy, przechadzały się tury, jelenie, żubry i łosie.

Tym rzadkim gościem był wspaniały jeleń, rogal, który z południa, ze Samborskiego, na moje terytoryum przybył i zaległ w biały dzień w krzaczkach na łące. Mój

dworski stelmach, który go zobaczył, miał mi dać znać o nim, ale przedtem chciał mu się przypatrzyć, przyszedł do niego na kilka kroków i spędził go; jeleń ruszył przez wieś, przez zagrody i pędzony przez psy, uszedł w lasy w kierunku północno-wschodnim ku Gródkowi. Niech Bóg nie pamięta stelmachowi tej krzywdy, jaką mi wyrządził i niech nie dopuści, by spełniło się to, czego mu wtedy powinszowałem!

Jesienny ciąg słonek nie należał w tym roku do najgorszych. Było ich nawet dużo przez kilka dni, a to od 17 do 25 października. Na polowaniu u pani Fredrowej w dniu 17 wspomnianego miesiąca strzelaliśmy do jakich dwudziestu słonek.

Na dużych jeziorach naszych tysiące kaczek o tej porze. Podjechać ich niepodobna, bo siedzą na czystej wodzie. Strzela się tylko z ukrycia do ciągnących wysoko i rzadto która spadnie. Strzela się, jak to mówią, Panu Bogu w okna, ale zawsze jest rozrywka. Im zimniej, tem ich jest więcej. Gromadzą się i czekają z gotowymi na plecach tłumoczkami, by odlecieć tam, „gdzie pieprz rośnie."

Mgła już wisi nad ziemią. Uśpiona w łożu z mchów i opadłego z drzew liścia przyroda, oczekuje niecierpliwie białej, ciepłej, śnieżnej kołderki.

Albert Mniszek, delegat mościski.

Dwernik, 20 listopada 1899.

Upraszam uprzejmie Szanowną Redakcyę o umieszczenie w organie naszego Towarzystwa następującej notatki:

Uzupełniając — trafne zresztą — sprawozdanie z Liska o niedobrych warunkach myślistwa w naszym powiecie — muszę jako bezpośredni sąsiad z uznaniem podnieść, że specyalnie co do okręgu Lutowiskiego — prócz wymienionych w powyższem sprawozdaniu miejscowości — także w Berehach górnych, Nasicznem i Caryńskiem, panują od sześciu lat uregulowane stosunki myśliwskie i widoczną jest tam dbałość o podniesienie zwierzostanu. To samo można powiedzieć o Zarządzie lasów rządowych w Ustrzyckim okręgu.

Dla podniesienia zwierzostanu w powiecie Liskim, koniecznem jest:

1) Wykluczenie z polowań psów gończych i „takich strzelców" którzy nie przestrzegają ustawy łowieckiej.

2) Tępienie lisów, których tu mnóstwo.

3) Energiczniejsze wyłapywanie przez c. k. starostwo i żandarmeryę kłusowników i niepozwalanie „gajowym gminnym" (czytaj „koncesyonowanym kłusownikom") na noszenie broni palnej.

4) Publiczne wymienianie bez ceremonji w *Łowcu* tych „myśliwych" którzy nie przestrzegają ustawy i reguł łowiectwa.

5) Surowsze zastosowanie ustawy łowieckiej, a z uwagi na dłużej trwającą zimę w górach — raczej opóźnianie, niż przyspieszanie rozpoczęcia okresu polowania.

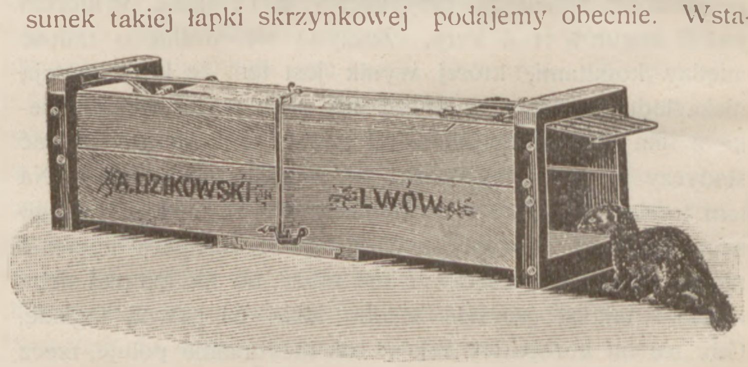
Ludwik Ramult, delegat gal. Tow. Łow.



Sprawy Towarzystwa.

W sprawie zajęcy.

Uważamy sobie za obowiązek jeszcze raz przestrzec tych członków Towarzystwa, którzy sprowadzają w tym roku zające, aby tępieniu drapieżników w okolicy zajęczarni jak największą poświęcili uwagę. Przedsięwzięta próba, na którą szanowni członkowie znaczne poświęcili fundusze, jest barzdo ważną — na wyniki jej czeka bardzo wielka liczba członków, która nie miała odwagi już w tym roku ryzykować znaczniejszej sumy, a zaryzykuje ją, gdy zachęci ją wynik tegorocznej akcyi — byłoby zatem tylko dalszem rozwinięciem dobrej myśli, gdyby z całą konsekwencyą przeprowadzono sprawę tępienia drapieżników. Łapki i paście powinny znaleźć przy urządzaniu zajęczarni bardzo szerokie zastosowanie — wszelkie środki tępienia drapieżników powinny być użyte choćby tylko w tym celu, aby służbę łowiecką i lasową nauczyć, że ta z własnym zyskiem a pożytkiem łowiectwa ma niszczyć rabusiów, którzy niewątpliwie do zajęczarni jak do śpiżarni zachodzić będą. Zwracamy uwagę, że przy wabiku, naśladującym kniazienie duszonego zająca, strzelają niemieccy myśliwi prawie wszystkie nasze drobniejsze drapieżniki. Na głos ten przychodzi lis, kuna, tchórz, łasica, sroka, wrona i jastrząb. Rzecz sama kosztuje bardzo mało — nie szkodziłoby zatem zaopatrzyć w nią straż leśną, aby z nią szczęścia próbowała. O łapkach wspominaliśmy już w zeszłym numerze „*Łowca*" — rysunek takiej łapki skrzynkowej podajemy obecnie. Wstawiona w otwór w płocie zajęczarni zrobiony, może ona znakomite oddać usługi. Oprócz takiej łapki, należy także ustawiać wzdłuż plotu zwykłe paście — należy je także umieszczać na słupach w środku zajęczarni, celem łowienia drapieżnych ptaków, które także do zajęczarni znęcać się będą. Jeszcze raz wołamy: wojna i to wojna jak najzawziętsza powinna być drapieżnikom wytoczona!



Redakcya.